



**Maria Konopnicka**

*O krasnoludkach  
i sierotce Marysi*



Kharkiv  
«Folio»  
2022

Czy to bajka, czy nie bajka,  
Myślcie sobie, jak tam chcecie.  
A ja przecież wam powiadam:  
Krasnoludki są na świecie!

Naród wielce osobliwy.  
Drobny — niby ziarnka w bani:  
Jeśli które z was nie wierzy,  
Niech zapyta starej niani.

W górach, w jamach, pod kamykiem,  
Na zapiecku czy w komorze,  
Siedzą sobie Krasnoludki  
W byle jakiej mysiej norze.

Pod kominem — czy pod progiem —  
Wszędzie ich napotkać można:  
Czasem który za kucharkę  
Poobraca pieczeń z rożna...

Czasem skwarków porwie z rynki,  
Albo liźnie cukru nieco,  
I pozbiera okruszynki,  
Co ze stołu w obiad lecą.

Czasem w stajni z bicza trzaśnie,  
Koniom spleta długie grzywy,  
Czasem dzieciom prawi baśnie...  
Istne cuda! Istne dziwy!

Gdzie chce — wejdzie, co chce — zrobi,  
Jak cień chyżo, jak cień cicho,  
Nie odżegnać się od niego,  
Takie sprytne małe lichy!

\*

Zresztą myślcie, jako chcecie,  
Czy kto chwali, czy kto gani,  
Krasnoludki są na świecie!  
Spytajcie się tylko niani.

# JAK NADWORNY KRONIKARZ KRÓLA BŁYSTKA ROZPOZNAWAŁ WIOSNĘ

## I

Zima była tak ciężka i długa, że miłościwy Błystek, król Krasnoludków, przymarzył do swojego tronu. Siwa jego głowa uczyniła się srebrną od szronu, u brody wisiały lodowe sople, brwi najeżone okiścią stały się groźne i srogie; w koronie, zamiast pereł, iskrzyły krople zamarznętej rosy, a para oddechu osiadała śniegiem na kryształowych ścianach jego skalnej grotty. Wierni poddani króla, żwawe krasnoludki, otulali się jak mogli w swoje czerwone opończe i w wielkie kaptury. Wielu z nich sporządziło sobie szuby i spencery z mchów brunatnych i zielonych, uzbieranych w boru jeszcze na jesieni, z szyszek, z huby drzewnej, z wiewiórczych puchów, a nawet z piórek, które pogubiły ptaszki, lecące za morze.

Ale król Błystek nie mógł się odziewać tak ubogo i tak pospolicie. On zimą i latem musiał nosić purpurową szatę, która od wieków służąc królom Krasnoludków, dobrze już była wytarta i wiatr przez nią świstał. Nigdy też, za nowych swoich czasów nawet, bardzo ciepłą szata owa nie była, ile że z przędzy tych czerwonych pajęczków, co to wiosną po grzędach się snują, utkana, miała zaledwie grubość makowego listka.

Drżało więc króliko srodze, raz wraz chuchając w ręce, które mu tak zgrabiwały, że już i berła utrzymać w nich nie mógł.

W kryształowym pałacu, wiadomo, ognia palić nie można. Jakże?! Jeszcze by wszystko potrzaskało: posadzki i mury.

Grzał się tedy król Błystek przy blasku złota i srebra, przy płomieniach brylantów, wielkich jak skowrończe jaja, przy tęczach, które promyk dziennego światła zapalał w kryształowych ścianach tronowej sali, przy iskrach lecących z długich mieczów, którymi wywijają dzielne Krasnoludki, tak z wrodzonego męstwa, jak i dla rozgrzewki. Ciepła wszakże z tego wszystkiego było bardzo mało,

tak mało, że biedny stary król szczękał zębami, jakie mu jeszcze pozostały, z największą niecierpliwością oczekując wiosny.

— Żagiewko — mówił do jednego z dworzan — słuگو wierny! Wyjrzyj no na świat, czy nie idzie wiosna?

A Żagiewka kornie odpowiedział:

— Królu, panie! Nie czas na mnie, póki się pokrzywy pod chłopskim płótem nie złączą zielenić. A do tego jeszcze daleko!...

Pokiwał król głową, a po chwili znów skinie i rzecze:

— Sikorek! A może ty wyjrzysz?

Ale Sikorkowi nie chciało się na mróz wystawiać nosa. Rzeknie tedy:

— Królu, panie! Nie pora na mnie, aż pliszka ćwierkać zacznie. A do tego jeszcze daleko!...

Pomilczał król nieco, ale iż mu zimno dokuczało srodze, skinie znów i rzecze:

— Biedronek, słuگو mój! A ty byś nie wyjrzał?

Wszakże i Biedronkowi niepilno było na mróz i zawieje. I on się kłaniał i wymawiał:

— Królu, panie! Nie pora na mnie, aż się pod zeschniętym listkiem śpiąca muszka zbudzi. A do tego jeszcze daleko!...

Król spuścił brodę na piersi i westchnął, a z westchnienia tego naszła taka mgła śnieżysta, że przez chwilę w grocie nic widać nie było.

Tak przeszedł tydzień, przeszły dwa tygodnie, aż pewnego ranka jasno się jakoś zrobiło, a z lodowych sopłów na królewskiej brodzie jęła kapać woda.

We włosach też śnieg tajać zaczął, a okiść szronowa opadła z brwi królewskich i zmarzłe kropelki u wąsów wiszące spłynęły niby łzy.

Zaraz też i szron ze ścian opadać zaczął, lód pękał na nich z wielkim hukiem, jak kiedy Wisła puszcza, a w komnacie zrobiła się taka wilgoć, że wszyscy dworzanie wraz z królem kichali jakby z moździerzcy.

A trzeba wiedzieć, że Krasnoludki mają nosy nie lada.

Sam to naród nieduży: jak Krasnoludek but chłopski obaczy, staje, otwiera gębę i dziwuje się, bo myśli, że ratusz. A jak w kocyk wlezie, pyta: „co za miasto takie i którędy tu do rogatek?”. A wpadnie w kufel kwarciany, to wrzeszczy: „Rety! Bo się w studni topię!”.

Taki to drobiazg!...

Ale nosy mają na urząd, że i organiście lepszego do tabaki nie trzeba. Kichają tedy wszyscy, aż się ziemia trzęsie, życząc sobie i królowi zdrowia.

Wtem chłop po drwa do boru jedzie. Słyszac owo kichanie, mówi:

— Oho, grzmi! Skręciła zima karku! — bo myślał, że to grzmot wiosenny. Zaraz konia przed karczmą zawrócił, żeby grosza na drzewo nie utracac i przesiedział tam do wieczora, rachując i rozmyślając, co kiedy robić ma, żeby mu czasu na wszystko starczyło.

Tymczasem odwilż trwała szczęśliwie. Już około południa wszystkim Krasnoludkom poodmarzały wąsy.

Zaczęli tedy radzić, kogo by na ziemię wysłać, żeby się przekonał, czy jest już wiosna.

Aż król Błystek stuknął o ziemię berłem szczerozłotym i rzekł:

— Nasz uczony kronikarz Koszałek-Opałek pójdzie obaczyć, czy już wiosna przyszła.

— Mądre królewskie słowo! — zakrzyknęły Krasnoludki i wszystkie oczy obróciły się na uczonego Koszałka-Opałka.

Ten, jak zwykle, siedział nad ogromną księgą, w której opisywał wszystko, co się od najdawniejszych czasów zdarzyło w państwie Krasnoludków, skąd się wzięli i jakich mieli królów, jakie prowadzili wojny i jak im się w nich wiodło.

Co widział, co słyszał, to spisywał wiernie; a czego nie widział i nie słyszał, to zmyślił tak pięknie, iż przy czytaniu tej księgi serca wszystkim rosły.

On to pierwszy dowiedział, iż Krasnoludki, ledwie na piędz duże, są właściwie olbrzymami, które się tylko tak kurczą, żeby im mniej sukna wychodziło na spencery i płaszcze, bo teraz wszystko drogie.

Krasnoludki tak dumni byli z kronikarza swego, że gdzie kto jakie zielsko znalazł, zaraz mu wieniec plótl i na głowę wkładał, tak, iż mu te wieńce resztę rzadkich włosów wytarły i łysy był jak kolano.

## II

Koszałek-Opałek zaraz się na wyprawę zbierać zaczął. Przyrządził sobie garniec najczarniejszego atramentu, potem wyszykował wielkie gęsie pióro, które, iż ciężkie było, musiał je jak karabin

na ramieniu dźwigać; ogromne swoje księgi na plecach sobie przytroczył, podpasał oponczę rzemieniem, włożył kaptur na głowę, chodaki na nogi, zapalił długą fajkę i stanął do drogi gotowy.

Wierni towarzysze zaraz się z uczonym Koszałkiem tkliwie żegnać zaczęli, niepewni, czyli go na ziemi zła jaka przygoda nie spotka i czy go jeszcze kiedy zobaczą.

Sam król Błystek miłościwy chciał go uściskać, iż bardzo sobie Koszałka-Opałka za uczoność jego cenił, ale się ruszyć nie mógł, gdyż zupełnie do tronu przymarzły mu szaty.

Sklonił tylko ze swego majestatu złote berło nad uczonym mężem, a gdy ten rękę królewską całował, stoczyło się po królewskim licu kilka jasnych pereł, które z brzękiem na kryształową posadzkę upadły. Były to zamarzniete łzy dobrego króla. Podjął je natychmiast skarbnik państwa, Groszyk, i w szkatułę drogocenną włożywszy, do skarbcza zaniósł.

Cały dzień gramolił się uczony Koszałek, zanim z grotu na ziemię wyszedł. Droga była stroma, korzeniami odwiecznych dębów spleciona, odłamki skały, żwiry i kamyki usuwały się spod nóg, lecąc z głuchym łoskotem gdzieś na dno przepaści; zamarzłe wodospady świeciły jak szyby lodu, po których uczony wędrowiec ślizgał się w swych chodakach, i tylko z największym trudem posuwać się mógł w górę.

Na domiar biedy, wybrał się bez jakiegokolwiek posiłku na drogę, gdyż dźwigając wielkie księgi, wielki kałamarz i wielkie pióro, nic innego unieść już nie mógł.

Byłby Koszałek-Opatek zupełnie z sił opadł, gdyby nie to, że natrafił na dobrze zagospodarowany dom pewnego przezornego chomika.

Ten chomik miał pełną spiżarnię różnego ziarna i orzechów bukowych, z czego coś niecoś zgłodniałemu wędrowcowi udzielił, a nawet na sianie, którym dom cały był wysłany, odpocząć pozwolił, pod warunkiem, że o siedzibie jego nic a nic w wiosce nie powie.

— Bo — mówił — są tam psotne chłopaki, które jakby tylko o mnie się zwiedziały, oho! już bym przed nimi spokojności nie miał!

Koszałek-Opatek z wdzięcznością opuścił gościnnego chomika, posilony na duchu i na ciele.

Szedł teraz wesół i rażny, poglądając spod ciemnego kaptura po chłopskich półkach, po łąkach, po gajach. A już ruń dobywała się i parła gwałtownie nad ziemię; już trawki młode puszczały się

na wilgotnych dołkach, już nad wezbraną strugą czerwieniały pręty wikliny, a w cichym, mglistym powietrzu słychać było kruczenie żurawi, wysoko gdzieś, wysoko lecących.

Każdy inny Krasnoludek poznałby po tych znakach, że wiosna już blisko, ale Koszałek-Opalek tak był od młodości pogrążony w księgach, że poza nimi nic nie widział w świecie i na niczym nie rozumiał się zgoła.

Wszakże i on miał w sercu taką dziwną radość, taką rzeškość, że nagle zaczął wywijać swoim wielkim piórem i śpiewać znaną starą piosenkę:

...Precz, precz smutek wszelki,  
Zapal fajki, staw butelki.

Zaledwie jednak był w połowie zwrotki, kiedy posłyszał ćwierkanie gromady wróbli na chruścianym, grodzącym pólko, płocie; urwał tedy piosenkę swą natychmiast, aby się z tą gawiedzią nie bratać, i namarszczywszy czoło, szedł z wielką powagą, iżby ona hołota wiedziała, że mężem uczonym będąc, z wróblami kompanii nie trzyma.

A że już i wioskę widać było, skręcił tedy na przydrożek, gdzie go zeszlóroczne badyle różnego chwastu prawie zupełnie zakryły, i niepostrzeżony do pierwszej chałupy doszedł.

Wieś była duża, szeroko rozbudowana wśród poczerniałych teraz i bezlistnych sadów, a ostatnie jej domostwa opierały się o ciemną ścianę gęstego sosnowego boru.

Chaty były zamożne, świeżo wybielone, z kominów ulatywał dym siny, w podwórkach skrzypiały studzienne żurawie, parobcy poili konie i porykujące bydło, a kupki dzieci bawiły się hałaśliwie na wysadzonej topolami drodze to „w gonionego”, to znów „w chowanego”.

Ale nad całym tym gwarem górował huk młota i dźwiękanie żelaza w pobliskiej kuźni, przed którą stała gromadka lamentujących niewiast. Obaczywszy je, Koszałek-Opalek posunął się ostrożnie wzdłuż płota i stanąwszy za krzaczkiem tarniny — słuchał.

— A niecnota! A zbój! — mówiła jedna. — Jak on się do kowalowego kurnika zakraść nie bał, to już przed nim nigdzie kokoszki nie skryje!

A druga:

— Co to kokoszki! To było złoto, nie kokosza! Dzień na dzień jaja niosła i to jak moja pięść! Na całą wieś takiej drugiej nie ma!



# ЗМІСТ

JAK NADWORNÝ KRONIKARZ KRÓLA BŁYSTKA ROZPOZNAWAŁ WIOSNĘ .....	5
WYPRAWA PODZIOMKA .....	28
KRÓL BŁYTEK OPUSZCZA KRYSZTAŁOWĄ GROTEĘ .....	49
PODZIOMEK SPOTYKA SIEROTKĘ MARYSIĘ .....	57
DOBRE CZASY .....	80
KONCERT MISTRZA SARABANDY .....	91
MODRACZEK I JEGO UCZEŃ .....	100
U KRÓLOWEJ TATRY .....	108
SOBÓTKA .....	119
SPRAWA WIECHETKA .....	129
JAŁMUŻNA PÓŁPANKA .....	146
POWRÓT KRASNOLUDKÓW POD ZIEMIĘ .....	154